

# DODATEK SPECJALNY do Gminnej Gazety KURENDA



**Działaj  
lokalnie**

CZERWIEC 2005 / nakład 1200 egz.

**Stowarzyszenie  
„Homo- homini”  
prezentuje projekt:**



## „Zachować od zapomnienia”

realizowany w ramach konkursu „Działaj lokalnie IV”  
ogłoszonego przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności  
i Akademię Rozwoju Filantropii w Polsce

### Na żniwny czas...

**Maria Brzezicka** jest jedną z najstarszych mieszkanki Głuchowa. Urodziła się 12 września 1912 roku w Gostkowie- Powiat Toruński.



„Podróżowałam z rodzicami. Zanim zaczęłam pracę w Głuchowie u Hrabiego Alfonsa von Avensleben, mieszkałam z rodzicami w Wybczu. Ojciec pracował w tamtejszym majątku. Dziedzic w Wybczu był również Niemcem, ale od dawna był osiedlony w Polsce. Miał on syna , który dla ludzi był bardzo dobrym człowiekiem. Dobrze to pamiętam.

U Hrabiego w Głuchowie pracowałam przez 7 lat, od 14 roku życia. Pracowałam w polu i w ogrodzie. Ziemię orano w konie i woły. Ojciec mój pracował jako stajenny. Każdy stajenny dostawał pod swoją opiekę cztery piękne konie. Pamiętam jak mój mąż , wtedy młody chłopak, dostał pod opiekę cztery konie. Zastanawiałam się wtedy - jak taki młody chłopak sobie poradzi ?

Hrabia miał 4 synów: Hubertusa, Litisha, Busa i Alva. Państwo mieli gospozię, kelnera i dwie pokojówki.

Wnętrze pałacu zdobiły różne dekoracje i obrazy, które po wkroczeniu Armii Radzieckiej uległy znacznemu zniszczeniu. W pałacu każdy syn miał swój pokój, były sypialnie i garderoby. W ogrodzie hodowano różne gatunki kwiatów, najczęściej pelargonie. Zagospodarowany był staw w Głuchowie. Ziemie Hrabiego sięgały aż do Nawry , obejmując obecne Wilamowo. Na polach uprawiano zboże i buraki, które były odwożone do cukrowni w Chełmży. Uprawiano również ziemniaki. Hrabia posiadał własną gorzelnię, w której wytwarzano spirytus. Budynek gorzelni stoi do dziś. Na Sylwestra stajenni „pękali” konie batem przed pałacem , za co dostawali pierniki . Zwyczaj ten miał wróżyć dobry Nowy Rok. Hrabia zawsze wypłacał wynagrodzenia w terminie , nie mogliśmy się skarżyć.

Najbarwniej wspominam żniwa. Do pracy na sezon przyjeżdżali z “Kongresówki”. Hrabia w pole wyjeżdżał tylko raz w czasie żniw, rozpoczynając żniwa. Najstarsza z grupy przodownica przypinała Hrabiemu i Hrabini zdobne kokardy. Za to otrzymywała pieniądze, którymi dzieliła się z resztą żniwiarzy . Na pierwszy moment żniw chłopcy przypinali sobie do ramienia kłosa zboża. Po żniwach były dożynki, urządzano potańcówkę na spirzchu. Wszyscy pracownicy ustawiali się w barwnym korowodzie. Chłopcy zakładali przodownicy i zarządcy koronę pięknie zdobioną z kłosów , kwiatów i wstążek i podążali do pałacu. Tam wszyscy śpiewaliśmy: „Plon, niesiemy plon wielmożnemu w dom!”. Był to wtedy kolorowy i wesoły czas.

W 1944 roku po wkroczeniu wojsk radzieckich Hrabia uciekał do Niemiec , zabierając ze sobą naszych mężów oraz wszystkie cenne rzeczy jakie posiadał. Chłopcy pracowali wtedy przy budowie mostu, na znak swojej polskości zakładali sobie biało- czerwone flagi.

Do domu wracali na piechotę, ale wrócili wszyscy , dzięki Bogu...

Magdalena Kurkowska, Justyna Błaszczyk, Barbara Stachowska

## Ze Zwoli do Głuchowa



Nazywam się **Maria Błażejczyk**. Urodziłam się 10 listopada 1944 roku w miejscowości Zwola powiat Garwolin. Przeprowadziłam się tutaj w wieku 12 lat. Cała rodzina mamy mieszkała na Pomorzu, więc ściągnęli tu również i nas. Duży wpływ na przeprowadzkę miał też oczekiwany tu dobrobyt, ponieważ w Zwoli mieliśmy niewiele ziemi uprawnej. Jechaliśmy w wagonie bydłowym przez cały tydzień. Nasz majątek po przybyciu składał się z kilku kur, dwóch krów, jednego konia oraz żelaznego wozu. Na początku zamieszkaliśmy w Warszewicach u mamy siostry, czyli mojej ciotki. W tym okresie rodzice zaczęli stawiać drewnianą chatę.

Po pewnym czasie zamieszkaliśmy w Bogusławkach. Sąsiedzi byli bardzo życzliwi i uprzejmi, a w szczególności państwo Zielińscy. Nawet udostępnili nam jeden pokój w swoim mieszkaniu i kuchnię. Z czasem wybudowaliśmy domostwo z cegły. Trudno było mi się przyzwyczaić do nowego otoczenia, szkoły, znajomych. Było wiele momentów, gdy tęskniłam za swoim dawnym domem. Musiałam dostosować się do otaczającej mnie rzeczywistości. Nowością dla mnie były organizowane dożynki, czyli święta kończące żniwa oraz często wypowiedane przez miejscowych słowo „jo”.

Chociaż minęło wiele lat pamiętam dobrze dzieciństwo spędzone w Zwoli. W święta Wielkanocne obowiązkowo gotowano barszcz czerwony oraz ćwikłę z chrzanem. W niedzielę Palmową robiono własnoręcznie palmy z bazi, trzciny i papierowych kwiatów. Jajka malowane woskiem były wkładane do skromnych i niewielkich świeconek. W poniedziałek lano tylko wodę, na szczęście nie bito dyngusem. Natomiast w Boże Ciało w kościele znajdowały się cztery ołtarze, z których brano gałązki na urodzaj pól.

Ważnym dla mnie wydarzeniem była Pierwsza Komunia Święta. Na przyjęcie nie zapraszaliśmy żadnych gości, tylko świętowaliśmy we własnym gronie. Do kościoła szliśmy z rodzicami. Każde dziecko w naszej parafii, gdy przystępowało pierwszy raz do Komunii Świętej otrzymywało obrazek od księdza. Również ja mam taki obrazek do dzisiejszego dnia. Suknie komunijne były różnorodne. Im bogatsze rodziny, tym piękniejsze suknie. Wigilia Bożego Narodzenia była wyjątkowym świętem. Pod obrus i w rogi izby wkładano siano. Niezwykłą atmosferę sprawiała żywa choinka. Niestety, nie było

prezentów. Zawsze zostawiano jedno miejsce dla przybysza. Opłatkiem dzielono się również ze zwierzętami. Na tę wyjątkową kolację gotowano 12 potraw bezmięsnych m.in. : kapustę z grochem, pierogi różnego rodzaju, kluski z makiem, zupę śliwkową oraz grzybową itd.

Wesela w moich rodzinnych stronach trwały bardzo długo, bo przez cały tydzień i odbywały się na podwórku. Zapraszano powyżej 100 osób. Zgodnie z zasadą „zastaw się, a postaw się” na weselu podawano jak najwięcej potraw np. wyroby swojskie, kiełbasy oraz alkohol, aby okazać gościnność. Dla urozmaicenia zabawy śpiewano bardzo dużo przyspiewek :

- |  |  |
|--|--|
| 1. Córúś moja gdzieś ty była<br>Coś trzewiczki tak zrosiła<br>W lesie byłam matulu(2x) | 3. Córúś moja coś ty piła<br>że ci się twarz zmieniła<br>piwo piłam matulu(2x) |
| 2. Myśmy także w lesie byli<br>Aleś my się nie zrosili<br>Rosa była matulu(2x)         | 4. Myśmy także piwo pili<br>aleś my się nie zmienili<br>mętne było matulu(2x)  |

Przychodzi moment, kiedy kończy się nasz żywot. Po śmierci bliskiej osoby intensywnie przez 3 dni modlono się i śpiewano całe noce. Nieboszczyk znajdował się w domu, a do trumny wkładano: czapkę, różaniec, okulary, książeczkę do nabożeństwa. Również zasłaniano lustra i zatrzymywano zegary. W przypadku śmierci gospodarza otwierano drzwi od obory, żeby gospodarstwo się „nie tyrnęło”, czyli nie podupało.

Pamiętam czasy, kiedy wierzono w różnego rodzaju uroki np. ciężarne kobiety nie powinny patrzeć na zmarłych, aby nie ściągnąć choroby na własne potomstwo. Mięliśmy kiedyś problem z trzodą chlewną. Zwierzęta sprawiały nam problemy gryząc się wzajemnie. Moja sąsiadka doradziła mi, abym własną bielizną potarła grzbiety zwierząt. O dziwo po kilku dniach wszystko powróciło do normy, ale ciągle zastanawiałam się, czy rzeczywiście stało się to dzięki mojej bieliźnie? Również, jeśli chodzi o gospodarstwo, to transakcji nie powinno przeprowadzać się na jego terenie, ponieważ wraz ze zwierzętami można sprzedać szczęście. Obcych nigdy nie wpuszczano do obory, a jeżeli już ktoś wszedł i patrzył nam prosto w oczy, to trzeba było splunąć przez ramię. Również w pomieszczeniach gospodarczych wieszano czerwone wstążki, które chroniły przed złymi duchami. Matki trzy razy przerzucały kota nad kołyską dziecka, gdy ono przeciągało się. A jeżeli ktoś ma problem z kurzajkami, to znam na nie doskonały sposób. Trzeba potrzeć kurzajkę monetą i wyrzucić pieniądz za siebie.

Myślę, że społeczeństwo w Garwolinie było mało nietolerancyjne. Panna z dzieckiem była odrzucona przez ludzi, od przyszłych żon wymagano dziewictwa, a ponowne zamążpójście równo było zdradzie.

Emilia Murawska, Marta Karwowska,  
Justyna Błaszczyk, Barbara Stachowska

### Podziękowanie

*Serdecznie dziękujemy Zbigniewowi Trzpiłowi, Zdzisławowi Stepnowskiemu, Marii Sosińskiej, Grażynie i Stanisławowi Żakom, Wiesławowi Mańkowskemu, Ryszardowi Jarzynie, Bogdanowi Domachowskiemu, Halinie Osuch, Franciszkowi Piróg i Genowefie Nowak za pomoc w realizacji projektu "Zachować od zapomnienia".*

*Realizatorzy projektu*

## Mówili na nas Białorajce...

„...Tu z wyjątkową mocą zdaje się przemawiać błękit nieba, zieleń lasów i pól, srebro jezior i rzek. Tu śpiew ptaków brzmi szczególnie znajomo, po polsku.”

Tak o zachodnim Roztoczu mówił papież Jan Paweł II podczas jednej ze swoich pielgrzymek do Ojczyzny (Zamość 12. 06. 1999 r.). W tej właśnie części Polski położona jest miejscowość Gorajec Zagroble (województwo lubelskie, powiat zamojski, gmina Radecznica), rodzinna wieś państwa Zofii i Jana Harkot.



Pani Zofia i pan Jan urodzili się i wychowali w tej samej wsi Gorajec. Tam w 1961 roku zawarli związek małżeński. Wesela w tamtych stronach były huczne i trwały dwa dni. Przed zaślubinami pan młody wraz ze starszym swatem jeździł i prosił na uroczystość swoich gości a panna młoda ze starszą druhną swoich. W dzień wesela młody wraz z orkiestrą i tzw. drużyną przyjeżdżał przed dom przyszłej żony. Orkiestra grała marsza a pan młody czekał na wyjście swojej wybranki. Tradycja nakazywała, aby młoda wyszła dopiero przy dźwiękach trzeciego marsza wcześniejsze ukazanie się w drzwiach było uznawane za nietakt. Po przywitaniu się para młoda przy akompaniamencie grajków i w towarzystwie młodzieży jechała do

kościół. Starościna miała koszyk wypełniony cukierkami i szyszkami (kruche ciastka) i częstowała nimi dzieci, które zbierały się przy drodze, którą jechali młodzi.

Po mszy ślubnej małżonkowie udawali się do rodzinnego domu pani młodej i tam bawili się wraz z jej gośćmi do godziny 22:00-24:00. Goście zaproszeni na uroczystość przynosili ze sobą wódkę, kiełbasę, ser i inne potrawy. Następnego dnia 4 młode mężatki tzw. przedamki i 4 mężczyzn z wozem (zimą były to sanie) przynosili młodą do domu męża. W posagu dziewczęta otrzymywały pościel, płótna, chusteczki, garnki, pręślice (na fotografii), szafy, kufry, skrzynie. Pani Zofia do dziś przechowuje na strychu wielką trzydrzwiową szafę, którą zamówił dla niej ojciec. Po dotarciu do domu męża rozpoczął się drugi dzień wesela, na którym bawili się goście pana młodego.

W 1966 roku podjęli decyzję o przeniesieniu się na Pomorze. Mimo, że okolice, w których mieszkali były piękne to warunki pracy były bardzo trudne. Gospodarstwo, które posiadali, rozbite było na wiele drobnych kawałków ziemi (25 kawałków po 2 ary, 3 ary) znacznie od siebie oddalonych. To bardzo utrudniało im pracę. Na podjęcie decyzji wpłynął również fakt, że kilka miesięcy wcześniej na Pomorze przeprowadziła się z rodziną siostra pana Jana pani Helena Kwapisz z Grzegorza (lipiec 1966 rok). W listopadzie państwo Harkot wraz z córkami przyjechali do Dziemion. W styczniu kupili od p. Kordyjak gospodarstwo. Na Boże Narodzenie na Pomorze przybyli także rodzice pana Jana.

Pani Zofia i pan Jan odwiedzają Lubelszczyznę przy okazji rodzinnych uroczystości. Wiele się tam zmieniło odkąd wyjechali. W miejscu stromych ścieżek, którymi wspinali się na okalające Gorajec góry znajdują się asfaltowe drogi, drewniane domy kryte strzechą zastąpiły murowane z dachówkami. Pani Harkot pamięta jak ojciec wyrabiał ze słomy kiczki i głowacze, którymi pokrywano dachy. Kiczki były krótkie i kładło się je na rogi i zakończenie dachu a głowacze były długie. Przycinał je specjalnym nożem zwanym kobyłką. Pamięta też, jak budowano sanie żałobice bogato zdobione i litry uboższe w zdobienia.

Boże Narodzenie kojarzy się jej z łokłotem - wiązka słomy przynoszona do domu i rozścielana na podłodze oraz z łupciami-gołąbki przyrządzane z liści kiszzonej kapusty i kaszy gryczanej kraszonej olejem. Po pośniku-kolacja wigilijna - szło się do sadu i wiązało drzewa linami.

W Lany Poniedziałek po domach chodzili tzw. piskarze, którym dawano jajka, a oblewanie się wodą trwało aż siedem dni.

Pan Harkot zauważył, że w latach 1966-1967 do Dziemion przybyło wiele rodzin z innych części Polski. Na nich (p. Harkot i przybyłych z tamtych stron) mówiono Białorajce lub Biłgorajce od nazwy miasta Biłgoraj, które położone jest w ich rodzinnych stronach.

Ewa Latańska, Monika Fusiara, Ewa Maria Gnat

## **„Budynki do pola mogą przyjść, a odwrotnie nie będzie”...**



Listopad 1961 rok. -Podwórze było rozjeżdżone, łało, kiedy z sześciorgiem dzieci, a z siódmym w drodze znalazłam się w Kończewicach, wspomina pani Genowefa Bytniewska. Dzieci miały popuchnięte nogi po długiej podróży w sfoferce ciężarówki, płakały. Pewnie i dlatego, że pierwsze wrażenie nie było najlepsze. Poprzedni gospodarz buraki miał jeszcze w polu i dlatego do Bożego Narodzenia miał mieszkać razem z nami. Dom był stary i ciasny, bez chlebowego pieca. Bardzo było mi żal rodzinnych stron...

Ojciec pana Lucjana Bytniewskiego zginął w czasie wojny. Dlatego jako kilkunastoletni chłopak musiał zająć się prowadzeniem gospodarstwa, które miał we wsi Zwola Duża, w gminie Miastków Kościelny, w województwie warszawskim. Ziemia była porozrzucana w promieniu 5 kilometrów. Trzeba było całego dnia żeby ją obejść, opowiada pan Bytniewski. Pomimo tego, że mieliśmy postawiony nowy dom, zdecydowałem się na tak poważną zmianę. Teść mój powiedział; „ Budynki do pola przyjdą, a odwrotnie nigdy nie będzie”. Trudna to była decyzja, bo żona nie chciała opuszczać wszystkich bliskich.

Tu na Pomorze najpierw przyjechali nasi znajomi. Rozebrany dom i stodołę przywieźli ze sobą w wagonie, bo zaczęli od gołego pola. Jakiś czas później przyjechałem do nich na rozeznanie, czy nie będzie tu czegoś dla mnie. Najpierw miało to być gospodarstwo w Bogusławkach, ale ziemia była za górzysta i w dwóch kawałkach. Żonie się nie podobało. Nie był to dobry dzień na decyzje, bo pochmurny i smutny. Postanowiliśmy wracać do Zwoli następnego dnia. Kolejny dzień był już zupełnie inny, bo pełen słońca. Gdy jechaliśmy na dworzec, w Kończewicach zobaczyliśmy piękny sad. Znajomy powiedział, że to gospodarstwo również jest na sprzedaż. Mieliśmy tylko 20 minut na podjęcie decyzji o kupnie. Za całość właściciel ceniał 280 tysięcy złotych, ale kupiliśmy za 240. Dałem 5 tys. zł. zadatku i wróciliśmy do Zwoli. Żona płakała, bo nadal nie godziła się z moją decyzją. Przyjechałem w te strony jeszcze raz, ale niczego lepszego kupić nie mogłem.

Późną jesienią, 13 listopada 1961 roku, przywoziłem rodzinę samochodem wynajętym z PKS-u. Po drodze samochód się zapalił, ale ugasiłszy pożar. Gdy zajechaliśmy na miejsce kierowca wywołał mnie z domu i pukając się w czoło powiedział: „Coś pan zrobił” ? Dom był pod strzechą, gliniany i zagrzybiony. Obórka z żuźla i tak licha, że moje konie wypchnęły ścianę. Mimo tego mi się tu podobało, bo ziemia była w jednym kawałku. Ruszyliśmy do pracy. Wszystko tu pięknie rośnie. Pierwsza wypłata za buraki, to były duże pieniądze. Za mleko można było dobrze żyć.

To co przeżyliśmy można by długo opowiadać-mówi

pani Bytniewska. W dniu urodzin mojego syna Stasia miałam do kopania kartofli osiemnastu ludzi. Dla wszystkich ugotowałam obiad, upiekłam chleb i dopiero potem mąż wiozł mnie po kamienistej drodze do Stoczka do porodu. Stasiu ważył prawie 4 kilogramy. Dziś jest to nie do pomyślenia. Pani Genowefa urodziła 9 dzieci, a szczęśliwie wychowała ośmiorgo. Ma 21 wnucząt i 6 prawnuków. W czerwcu państwo Bytniewscy obchodzili 60-lecie swojego małżeństwa.

- Nikogo tu do pomocy nie miałam, jedynie dzieci. Nawet przed szkołą musiały iść do przerywki. Prawie wszystkie potrafiły doić krowy - wspomina pani Bytniewska.

- Ciągłe budowaliśmy, chociaż bywało, że bardzo chorowałem opowiada pan Lucjan. -W ciągu 30 lat wyposażylem wszystkie dzieci, kupilem dwa domy. Przez sześć lat byłem prezesem Kółka Rolniczego w Kończewicach. Wtedy było na wszystko: na nagrody dla traktorzystów, na sprzęt i paliwo, na wycieczki. Żona należała do Koła Gospodyń Wiejskich, w którym kobiety uczyły się szycia, gotowania nowych potraw, zakładania ogrodów kwiatowych.

Od samego początku czułem się tu bardzo dobrze. Pan Wiktor Zaton otoczył mnie prawdziwą opieką, był moim serdecznym przyjacielem. Nigdy nie żałowałem, że zamieszkałem tutaj, a w rodzinne strony jeżdżę bardzo chętnie. Kiedyś Pomorze było bogate i tu ludzie przyjeżdżali po lepszy byt. Dziś widzę, że mocno rozwinęły się tereny, z których pochodzę i nie ma już różnic jakie były wcześniej.



Mieszkając w Zwoli pan Bytniewski przez 20 lat należał do chóru kościelnego, a pani Genowefa do czasu wyjścia za mąż. Do dziś obydwójce pamiętają wiele przyśpiewek, piosenek i pieśni z dawnych lat. W okolicach Zwoli wesela były bardzo wesołe, bo przepełnione muzyką, tańcami i przyśpiewkami, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Niektóre powstawały na okazję i nikt się nie obrażał.

*„Przepraszam Was goście mili,  
Proszę się nie gniewać,  
bo jak to przy weselu-  
wszystko można śpiewać.”*

Pani Bytniewska podała przepis na „Szary barszcz” z wieprzowiny.

Potrzebne są kawałki wątróbki, płucka, żeberka, nerki, podgardle. Gotuje się je na occie z kapusty kiszzonej, dodając listek laurowy, sól i pieprz. Na koniec podaje z ugotowanymi i okraszonymi ziemniakami.

Dawniej na śniadania ludzie jadali barszcz biały z ziemniakami, kaszę gryczaną uprażoną z przegotowanym mlekiem na popicie, kapustę kiszoną z grochem. Od święta, np. na Wielkanoc przygotowywano barszcz czerwony z kiszonych buraków. Podawano go z jajkiem, kiełbasą i chrzanem ze śmietaną. Na tydzień wcześniej zalewano surowe, pokrojone buraczki ciepłą, przegotowaną wodą, by się ukisiły.

Opr. Ewa Czarnecka